

WIESŁAWA KORZENIOWSKA

Wbrew prawu czyli o przemytnikach,
kłusownikach, złodziejach i „innych
występnych” Bierunia i okolicy w XIX w.

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

Terytorialny rozwój państwa pruskiego, szybki i postępujący rozwój gospodarczy i ogromny wzrost gęstości zaludnienia były cechami charakterystycznymi okresu powojennego tj. lat po roku 1815. Wprawdzie intensywny rozwój ludności prawie wszystkich państw Europy datuje się na drugą połowę XVIII wieku, lata powojenne były w zasadzie jego kontynuacją przewyższającą jednak wszelkie dotychczasowe zmiany. W przypadku gęstości zaludnienia Śląsk wyróżniał się zdecydowanie wśród europejskich populacji. Zjawisko to zresztą posiadało tu długą historię i zwracało na siebie uwagę już w wiekach poprzednich, toteż w połowie wieku XIX ziemie te były nadal jedną z najludniejszych prowincji monarchii pruskiej ustępując jedynie Nadrenii.

Intensywność wzrostu ludności nie była jednak równomierna we wszystkich regionach Śląska. Wyróżniała się pod tym względem rejencja opolska (zamieszkała w przeważającej części przez ludność polską) a obejmująca obszary od okolic Grodkowa, Nysy, Prudnika — na zachodzie, okolic Kluczborka na północy, Mysłowic i Bierunia — na wschodzie oraz Głubczyc, Raciborza, Pszczyny na południu. Liczba mieszkańców w omawianym okresie powiększyła się tu średnio o 50% i jedynie w okolicach typowo rolniczych wzrost gęstości zaludnienia wahał się w granicach: od 30 — 35% na całym Śląsku do 44% na Górnym Śląsku.

Sam Bieruń i wioski jego parafii nie plasowały się w rzędzie miejscowości z ową demograficzną eksplozją, gdyż leżały one na terenach tyfusu głodowego z lat 1847 — 1848 co miało znaczenie istotne dla prokreacji lat następnych.

W połowie XIX wieku, a konkretnie ok. roku 1845, liczba mieszkańców parafii bieruńskiej przedstawiała się następująco: sam Bieruń liczył 1210 mieszkańców, Bijasowice — 583, Cielmice — 540, Jaroszowice — 436, Porąbek — 158, Ściernie — 305, Świerczyniec — 411, Urbanowice — 740, a kopieczne sołectwo bieruńskie — 90. W roku 1865, a zatem po 20 latach liczba mieszkańców zwiększyła się do stanu: w Bieruniu — 1334 osób, w Bijasowicach do 584, w Cielmicach do 618, w Jaroszowcu do 471, w Porąbku do 173, w Ścierniach do 369, w Świerczyńcu do 456, w Urbanowicach do 880 i w sołectwie kopiecznym do 102.

Liczyby te nie potwierdzają wzmiankowanego wyżu demograficznego stanowiąc zaledwie przyrost rządu od 10 do 13%. Nie znaczy to jednak, że miejscowości owe pozostawały poza strefami wpływów ogólnych przemian demograficznych i zmian zachodzących w sąsiedztwie najbliższym tj. w rozwijającym się przemyśle górnośląskim, które również i tu wyciskały swe piętno.

W pomyślnych kierunkach rozwoju demograficznego na całym Górnym Śląsku wystąpiły z biegiem lat ewolucje niepożądane. Należało do nich — między innymi — zwiększające się przeludnienie wsi. Narastającą w tym czasie liczbę mieszkańców wsi górnośląskiej, stanowiącą od 85,7 do 87,5% ogólnej sumy ludności, tworzyli głównie małorolni lub bezrolni chłopcy, których tylko część znajdowała zatrudnienie w rozwijającym się lokalnie rzemiośle lub przemyśle. W tej sytuacji, radykalnym przeobrażeniem uległa dawna struktura wsi, powstały znaczne ilości „ludzi zbędnych” tworzących ogromną masę rezerwowej siły roboczej, wśród której sporo było ludzi „luźnych” tj. nie związanych z żadnym zawodem. Spośród nich (lecz nie tylko z nich) wywodziły się dosyć często różnego rodzaju elementy przestępcze, których zresztą w żadnej społeczności na przestrzeni wieków nigdy nie brakowało, a dla których okazją do działalności wbrew prawu stawały się wszelkiego typu okoliczności — zarówno terenowe, jak i polityczne, społeczne czy sytuacyjne.

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

Obszar południowo wschodniej części rejencji opolskiej (na którym znajdowała się parafia bieruńska) wbijał się niejako w tereny zaboru rosyjskiego i austriackiego posiadając tu, z tymi państwami dosyć długie granice (w stosunku do obszaru). Ciągnęły się one od Mysłowic przez Bieruń Nowy do Goczałkowic Dolnych, w których mieściła się filia bieruńskiego urzędu celnego. Okolice te, gęsto zalesione, a od pierwszej połowy XIX wieku

z systematycznie rozwijającymi się szlakami komunikacyjnymi (w 1824 roku ukończona została budowa pierwszej utwardzonej drogi na ziemi pszczyńskiej biegnąca z Wrocławia przez Gliwice, Mikołów, Bieruń do Oświęcimia) — były idealnym miejscem dla działalności przemytniczej. Wprawdzie badania potwierdziły, że przemysł na tych terenach nigdy nie osiągnął takiej perfekcji i skali jak miało to miejsce na granicy rosyjsko - austriackiej, niemniej swym istnieniem zwracał uwagę władz pruskich, a bywało, że i niepokoił je swą gwałtownością. Zdarzały się — na przykład — przypadki, że przemytnicy tworzyli całe oddziały zbrojne atakujące wręcz straż graniczną. Z końca lat czterdziestych XIX wieku pochodzi „oznajmienie” władz zwierzchnich Pszczyzny stwierdzające, że w okolicach Bierunia, przy „szwarcowaniu” bydła z zagranicy, usiłującym zapobiec temu strażnikom „w dopełnieniu swych powinności, od mieszkańców powiatu tutejszego (...) uzbrojoną ręką przeszkadzano i od Urzędów wiejskich ochrony należytej nie udzielono”. Przypadki takie zdarzały się tu jednak sporadycznie, konkretnie — głównie w okresach klęsk głodowych lub szerzących się chorób wśród bydła, gdy wszelki nim handel został oficjalnie wstrzymany. Ukazujące się w tych okresach, w pszczyńskim „Kreis-Blacie” ostrzeżenia przed zakupem bydła niewiadomego pochodzenia pozwalają domniemywać, że pruska straż celna nie zawsze stawała na wysokości zadania i nie zawsze zdołała wytropić przemytników.

W przypadku kontrabandy z Austrii do Rosji stosowanie tego rodzaju ostrych metod było zbędne; urzędnicy austriaccy nie należeli do drobiazgowych i zbyt skrupulatnych, zaś rosyjscy zmieniali swe punkty widzenia w zależności od wartości „prezentów” i w zasadzie, gdy chodziło o konkretne towary wszystko można było z nimi uzgodnić i załatwić.

Społeczność przemytników — zarówno z okolic Bierunia, jak i całego pruskiego pogranicza otaczana była nimbem tajemniczości i romantyzmu. Zresztą oni sami kierowali się prawami tylko im znanymi, a ogólnie wiadomym było, że cechuje ich ogromne poczucie odpowiedzialności za podjęte zobowiązania. Wiadomym też było, że powierzony im towar pozostawiali bez opieki jedynie w przypadku zagrożenia utraty życia. Dlatego też z usług ich korzystały zarówno osoby prywatne jak i całe nieraz przedsiębiorstwa, zaś jednorazowa wartość przemyconych przedmiotów sięgała nawet 4000 mk (przykładowo, w roku 1874, 1 krowa kosztowała od 40 do 44 mk, cielę — od 63 do 70 mk, świnia — od 60 do 62 mk).

Na granicy prusko-austriackiej i prusko-rosyjskiej miały w zasadzie miejsce dwa rodzaje przemytu: duży i mały, z których ten pierwszy był szczególnie interesujący gdyż jego roczne obroty „importu” i „eksportu” sięgały milionów marek.

Oficjalnie, w połowie XIX wieku, w rejestrach głównego urzędu celnego w Nowym Bieruniu notowano import różnego typu towarów, np. chudych świń (62% ich ogólnego importu z Austrii do Prus), wołów (46%), koni (48%), łoju (33%), wełny (31%), tytoniu (20%) itp. Nieoficjalnie jednak, na całym przygranicznym terenie kwitł równolegle, w całej okazałości handel nielegalny, a pomysłowość w tym zakresie przechodziła wszelkie możliwe przypuszczenia. Również zakres przemyconych towarów znacznie przekraczał rejestr towarów oficjalnego handlu zagranicznego. Zachowane dokumenty urzędu celnego w Nowym Bieruniu pozwalają odtworzyć wielkość tego zjawiska i jego usytuowanie w terenie.

W okolicach Bierunia nie dochodziło wprawdzie do tak drastycznych przypadków jakie miały miejsce np. w Mysłowicach, gdzie pod koniec XIX w. kwitł handel żywym towarem

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

— konkretnie młodymi kobietami, nie mniej i tu nie brak było sytuacji niezwykłych, a w kontrabandzie uczestniczyły nieraz setki mieszkańców wsi przygranicznych (nie tylko bieruńskiej parafii) przemycających wszystko co dawać mogło jakikolwiek zysk. Wśród towarów małego przemytu z Austrii najpopularniejszym był tytoń nabywany nader chętnie przez wszystkich okolicznych karczmarzy. Przenosiły go wiejskie kobiety w koszach wypełnionych jagodami, grzybami, ziołami itp. Czasem przenosiły go całe zorganizowane „kolejki” przemytników, przekraczających granice w regularnych odstępach czasu, jeden po drugim — wychodząc z założenia, że strażnicy nie będą w stanie wyłapać wszystkich i niektórym z nich uda się przenieść towar. Wiadomymi sobie drogami i ścieżkami przemycano bydło, pasze, sukno, tańsze masło, itp., a z precjozów — przedmioty ze złota i srebra. Z nimi zresztą wiąże się sporo podań czy opowieści krążących wśród mieszkańców wsi przygranicznych. Ich wątki niezmiennie nawiązywały do przemytników czy przewoźników (przewożących przez Wisłę kupców z Austrii lub Prus), którzy łamiąc honorowy kodeks ich cechu dopuszczali się morderstwa, na powierzonych swej opiece podróżnych przywłaszczając sobie ich towar, dzięki któremu stawali się ludźmi majątynymi, ale żyjącymi odtąd z brzemieniem krwi i przekleństwa. Skutki owego przekleństwa odczuwają podobno do dzisiaj ich potomkowie, a żadne pokolenie nie zaznało szczęścia i nie obyło się bez rodzinnych tragedii.

Do nietypowych metod przemytu należały pielgrzymki organizowane od wieków przez pobożny lud górnośląski. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w całym powiecie pszczyńskim nie było wsi, z której nie udawanoby się do miejsc pątnicznych.

W zapracowanym życiu chłopskich rodzin pielgrzymki były wielkim przeżyciem; miało ono oprócz charakteru typowo religijnego wydźwięk także wycieczkowy. Podróż taka, trwająca czasem i kilka dni, była prawdziwym relaksem dla zapracowanych od wczesnego rana do późnego wieczora ludzi. Wędrując przez nieznanne okolice mijano obce wsie i miasta, lecz szczególna atmosfera religijnego podniecenia nie czyniła drogi uciążliwą.

Odwiedzenie cudownego miejsca było przeżyciem wspominanym potem przez długie lata i często marzono by móc udać się raz jeszcze w podobną wyprawę.

Znanych miejsc pątnicznych było wiele w bliższej i dalszej okolicy, co wcale nie znaczy by z parafii bieruńskiej nie organizowano pielgrzymek do cudami słynących sanktuariów znacznie oddalonych. Zainteresowaniem szczególnym cieszyła się Częstochowa leżąca ówczasie w zaborze rosyjskim. Do udających się tam z nabożnymi intencjami pielgrzymów bardzo często włączali się zawodowi przemytnicy wnoszący do grupy pątników liczne chorągwie z najdroższych gatunków jedwabiu, ozdobione koronami i krzyżami ze złota, srebra, tombaku, długimi splotami jedwabnych wstęg i innymi licznymi dekoracjami. Wracali zaś bez tego wszystkiego, a religijne akcesoria pozbawione były teraz wszelkich ozdób.

Podobnie zresztą wykorzystywano pielgrzymki do miejsc cudami słynących, a znajdujących się na terenie zaboru austriackiego, np. do Kalwarii Zebrzydowskiej z tym, że przemycano tu towary, poszukiwane na tych terenach.

Wspominając o pątnikach nie sposób pominąć pielgrzymów „zawodowych”, którzy odziani w strój pokutny przemierzali ogromne przestrzenie nie pomijając żadnej wsi.

Brak wprawdzie danych czy na omawianym pograniczu dopuszczali się oni działalności przemytniczej, wiadomym jednak było, że wśród nich spotykano wielu oszustów wykorzystujących owe pątnicze szlaki dla własnego wzbogacenia się. Bazując na żarliwej religijności ludzi i ich naiwnej ufności sprzedawali przeróżnego rodzaju akcesoria religijne jak np. relikwie różnych świętych, kamienie ze „świętego miasta Rzymu”, jerozolimskie

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

palmy, paciorki i krzyżyki ocierane o cudowne obrazy, ziemię z góry Kalwarii, piasek z domku Panny Marii z Loretto, dzwonki loretańskie (do dzwonienia w czasie burzy celem „odpędzenia” — pieruna), kartki z magicznym tekstem mającym gwarantować wszelką pomyślność, a nawet zapewnić... odpust zupełny.

Autor z pierwszej połowy XIX wieku, zajmujący się dziejami kultury ludowej tak opisywał owych pątników: „(...) Długo w wielkiej powadze i znaczeniu byli. Lud nasz przed pielgrzymem albo też pątnikiem z daleka czapkował, całował w rękę pobożnego wędrownika, rad wprowadzał «ojca świętego» jak nazywano go, do chaty, gdzie posiłek i spoczynek bez zapłaty znalazł. Długo bogacąc się piegrzymim łupem oszukanej gawiedzi używali najlepszego bytu”.

Zaznaczyć jednak trzeba, że nie tylko mieszkańcy wsi stawali się ofiarami ich przebiegłości. Ze skromnych zachowanych notatek wynika, że bieruńscy mieszczenie mieli również nader miękkie serca i przyjmowali tego typu wędrowców gościnnie i bez zastrzeżeń. Zresztą, spotykane jeszcze 20, 30 lat temu w domach starych mieszkańców Bierunia dewocjonalia oraz dewocjonalia mieszkańców wsi dawnej bieruńskiej parafii, świadczyć mogły o ich wspólnym pochodzeniu, zaś swą typowością potwierdzały przypuszczenia o pojawianiu się tu, w różnych okresach zeszłego stulecia owych „świętych wędrowców”.

Jak wzmiankowano, sposobów na nielegalny handel było wiele i jak obliczał szacunkowo sam O. Bismarck, co roku tylko rząd Rosji carskiej tracił wskutek nielegalnego importu towarów ok. 40 mln rubli na samych cłach.

Nie mniejsze straty ponosiła monarchia pruska i austriacka, toteż zrozumiałym stało się, że te rodzaje „importu” i „eksportu” były solą w oku wszystkich trzech zaborców i tępieno je z równą zapalczywością.

Rozciągające się na terenie całego prawie powiatu pszczyńskiego nieprzebyte lasy sprzyjały nie tylko nielegalnym handlarzom międzynarodowym, lecz były także terenem innego rodzaju działań wbrew literze prawa tj. kłusownictwa. Zaryzykować wręcz można twierdzenie, że każda prawie wieś miała wśród swej społeczności tego rodzaju specjalistów.

Bieruń, aczkolwiek nie graniczył bezpośrednio z rozległymi lasami, miał je jednak w niedalekim sąsiedztwie. Obfitujące w zwierzynę łowną, stanowiły szczególnego rodzaju pokusę zarówno dla mieszkańców okolicznych wiosek jak i samego Bierunia (szczególnie w okresach zagrażających głodem, tj. na przednówkach i w latach nieurodzaju). Ofiarami kłusownictwa padały zwierzęta leśne i ptaki. Na omawianym terenie żyły jelenie, sarny, dziki, zające, lisy, kuny, tchórze, rysie, łasice, rzadziej wilki, zaś z ptactwa — kuropatwy, bekasy, kwiczoły, głuszce, cietrzewie, nurki, jarząbki, przepiórki, dzikie gęsi, kurki wodne itd.

Kłusownicy parafii bieruńskiej nie byli „mistrzami fachu” tej miary co osławiony gliwicki Sobczyk, o którym krążyły i do dnia dzisiejszego krążą barwne opowieści. Znani jednak byli strażnikom lasów książęcych (w latach czterdziestych XIX wieku) Wałek i Jura z Cielmic, Kuba z Urbanowic, Michał „alias Noga” z Jajost, „masorz z Bierunia” czy Albert Grzonowiec ze Świerczyńca, którzy raz po raz popadali w kolizje z obowiązującymi przepisami i skazywani byli na grzywny lub kary aresztu.

Kłusownictwem, w jakimś sensie jawnym, zajmowali się mieszkańcy zarówno Urbanowic, Jajost, Świerczyńca, Cielmic, Porąbka, jak i innych wiosek graniczących z lasami. Chodziło tu mianowicie o podstępne wyłudzenie prawa do zabicia zwierzyny leśnej w przypadku, gdy niszczyła ona chłopskie uprawy. W okolicach, w których pola chłopskie graniczyły z lasami, zwierzchność odgradzała je prowizorycznymi płotami, które mieszkańcy

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

wsi, pod osłoną nocy raz po raz niszczyli lub przewracali. Zwierzyna zwabiona wolnym dostępem do pól pożywiała się rosnącymi tam uprawami i... stawała się ofiarą, a zniszczone pola — argumentem usprawiedliwiającym występki lub uzasadniającym roszczenia chłopów względem właściciela lasów.

Przypadków tego typu było tak dużo w okolicy, że w pszczyńskim „Kreis-Blacie” władze wręcz ostrzegały, pod groźbą kary, przed takimi sposobami dochodzenia do zysków, zaliczając owe wybiegi do zwyczajnego złodziejstwa. Jednak, pomimo że ostrzeżenia i doniesienia takie pojawiały się w prasie stosunkowo często, sprawozdania policji i księżęcej służby leśnej pochodzące zarówno z lat czterdziestych jak i sześćdziesiątych utwierdzają w przekonaniu, że incydenty te nie były czymś sporadycznym, wręcz przeciwnie — dla wielu mieszkańców wsi stanowiły źródło na wpół legalnego i w miarę regularnego dochodzenia do większych lub mniejszych zapasów mięsa. Trzeba bowiem pamiętać, że do lat pięćdziesiątych minionego stulecia, tj. do czasu przeprowadzenia reformy uwłaszczeniowej

w posiłkach mieszkańców wsi mięso należało do potraw pojawiających się bardzo rzadko na stołach; jadano je tylko od wielkiego święta a i to w porcjach niedużych i sprawiedliwie rozdzielanych przez gospodynie, toteż każda sposobność urozmaicenia chłopskiego menu była przez mieszkańców wsi skrzętnie wykorzystywana. Przypadki tego typu „kradzieży” i innej, jak np. wypas inwentarza żywego na pańskim, spotykał się z dużą tolerancją mieszkańców wsi. Szczególną aprobatą cieszyły się czynione na terenach dworskich szkody i wręcz za niesprawiedliwość poczytywano kary nakładane na kłusowników i leśnych złodziei. Uważano bowiem, że zarówno las jak i leśna zwierzyna rosły bez wysiłku ze strony służby dworskiej dlatego prawo powinien mieć do nich każdy, toteż ze zbyt gorliwymi strażnikami lasów rozprawiano się nieraz rygorystycznie. (Ku ich przestrodze szeroko rozprawiano w latach trzydziestych, czterdziestych o losie Karola Goduli okaleczonego przez kłusowników za zbyt formalne traktowanie swych obowiązków).

Jak wzmiankowano, warunki terenowe Bierunia i okolicy sprzyjały różnego rodzaju działalności przestępczej. W nieprzebytych lasach ukrywać mogły się watahy „występnych”. Wprawdzie dla samych chłopów bandytyzm jako taki nie stanowił zagrożenia, jednak bogaci rzemieślnicy, karczmarze, kupcy lub inni bogatsi mieszkańcy Bierunia nie zawsze byli bezpieczni, a ich mieszkania bywały od czasu do czasu plądrowane w poszukiwaniu pieniędzy i przedmiotów wartościowych. Przypadki owe (raczej sporadyczne), władze skwapliwie wykorzystywały — szczególnie w latach po powstaniu listopadowym i styczniowym — do agitacji przeciw uciekinierom z zaboru rosyjskiego, sugerując iż wszelki bandytyzm jest ich udziałem. Nakazywano więc, pod groźbą kary aresztu, by „wszelakie indywidua” podejrzane o to, że pochodzą z „ruskiej Polski” odprowadzać natychmiast do najbliższego posterunku policji.

O ile przypadki rabunkowego bandytyzmu należały tu do rzadkości, drobne kradzieże były niemal na dziennym porządku. Bardzo często dopuszczali się ich parobcy lub dziewczki służebne zmuszeni do tego okolicznościami, tj. nędzą czy głodem.

Na ogół jednak po ustabilizowaniu się ich życiowej sytuacji rezygnowali z tego typu działalności. Niestety, często czyn taki wpisywany bywał przez gospodarza lub policję do tzw. książki służebnej (którą obowiązkowo posiadać musiał każdy ze służby czeladniczej) i tym samym utrudniał szansę ponownego zatrudnienia. Wprawdzie co niektórzy usiłowali „zgubić” ten swego rodzaju dowód osobisty, lub co gorsze — zafałszować jego dane; nie zawsze jednak wybiegi te udawały się. Np. w Bijasowicach parobek Jan Kostecki po wykryciu przez gospodarza zmian w zapisach książeczki uciekł w nieznanym kierunku, a listy gończe na próżno wzywały go do powrotu celem wyjaśnienia sprawy. Innym razem

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

przez policję Bierunia (w 1833 roku) zatrzymany został 14 letni chłopak nieznanego pochodzenia z nogami tak owrzodzonymi, że natychmiast umieszczono go w szpitalu. Przerażony jednak — prawdopodobnie — nietypową dla siebie sytuacją życiową niebawem uciekł, okradając przed tym kilku współpacjentów. Za drobne kradzieże poszukiwani byli także Franciszek Werner robotnik z Bierunia oraz Zofia Mansfeld z Urbanowic, ale i ich miejsce pobytu pozostało nieznane policji.

Nie byli to jednak złodzieje zawodowi lecz drobni „przywłaszczacze” cudzej własności (co nie znaczy, że nie spotykano tu zawodowców). Początki takiej kariery bywały różne.

Z zeznań składanych przed ławą przysięgłych w Bieruniu lub w trakcie przesłuchiwań na posterunkach policji wynikało, że najczęściej, pierwsze kradzieże spowodowane były potrzebami zaspokojenia głodu, chęcią posiadania ciepłej odzieży na mroźne dni itp. Potem delikwent brnął coraz dalej aż do kradzieży na wielką skalę.

Na przestrzeni całego XIX wieku dosyć częste były przypadki kradzieży koni, bydła, trzody chlewnej czy drobiu. Ukradzione zwierzę przeprowadzano najczęściej do oddalonych miast i bez trudu sprzedawano. Konie kradziono ze stajni — najczęściej nocą, lub z pastwisk. Również targi i jarmarki w miasteczkach były idealną okazją do tego rodzaju procederu, a

konie czekające np. przy oberżach na swych panów wyprzęgano nieraz bez problemów. Korzystając z nieuwagi właściciela koniokrada odjeżdżał szybko z miejsca postoju w boczne drogi, by potem, w miejscu w miarę bezpiecznym „przemodelować” konia czyli... domalować mu gwiazdkę na czole, lub naturalny znak zamazać, skrócić ogon, przyciąć grzywę itp. Manipulacje te utrudniały rozpoznanie konia przez właściciela lub jego rodzinę i umożliwiały bezpieczne oddalenie się do innych wsi i miasteczek.

Nie udało się wprawdzie dotrzeć do danych o koniokradach z Bierunia lub okolicy (i nie wiadomo czy takowi tu w ogóle byli) niemniej na ślady owego procederu można było się natknąć w postaci... konia „bez pana” jak określano w policyjnych ogłoszeniach pozostawione na drodze lub w lesie zwierzęta. Dokładnie podawane miejsce odnalezienia zguby, np. „na drodze z Bierunia do Cielmic”, „w lesie przy Jajostach” itp. pozwalało domniemywać o ew. trasach ucieczki czy schronieniu spłoszonego koniokrada. Zresztą na drodze wiodącej z punktu celnego w Nowym Bieruniu, którą wożono w głąb państwa pruskiego liczne towary importowane z Austrii — raz po raz miały miejsce „bezprawne postępowania”.

W pierwszej połowie XIX stulecia, gdy linie kolei żelaznej były nowością (pierwszą linię kolejową zbudowano na tych terenach w roku 1859 — z Mysłowic do Nowego Bierunia) rozwożeniem wszelkich towarów zajmowali się chłopcy dysponujący koniem.

Był to rozpowszechniony wtedy sposób podreperowywania chłopskiego budżetu i ową „wekturancją” trudniła się znaczna liczba mieszkańców wsi i miasteczek. Napady na przewożących towary zdarzały się raz po raz, ale wzmiankowana trasa stawała się szczególnie częstym „teatrem działań” tego typu. (Jego częstotliwość uzależniona była oczywiście od stopnia atrakcyjności wożonych produktów czy surowców).

W roku 1848, a więc w roku tyfusu głodowego, gdy na tych terenach ratowano się pożywieniem sporządzanym z korzeni, kory, perzu, mleczy, lebiody, koniczyny, orzechów bukowych, żołądź, kasztanów (spożywanych bezpośrednio lub po odpowiedniej przeróbce) artykułem nader pożądanym była ...sól umożliwiająca przyprawianie mdłych lub wręcz niesmacznych potraw. O tym, że produkt ten był trudny do zdobycia świadczą dane z urzędu landrata pszczyńskiego dotyczące rozdziału mąki i soli dla sierot pozostających pod opieką mieszkańców wsi (na jedno dziecko przyznawano 4 funty soli tj. około 1,8 kg na kwartał).

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

Minimalne te racje z ledwością starczały dla jednej osoby, toteż opiekunowie sierot i inni mieszkańcy wsi radzić musieli sobie w inny sposób (oczywiście o ile pozwalało na to zdrowie, siły i zasoby finansowe). Kupowano ją zatem u domokrażców, karczmarzy lub po prostu „zdobywano” ją w wyprawach, o których mówi ogłoszenie z urzędowej prasy 1848 roku: „Zdarzyły się znowu przypadki, że tutejsi mieszkańcy krysu zagranicznym furmanom wiozącym sól z Nowego Bierunia, po części przy naładowaniu w magazynie, częścią zaś na drodze do Gliwic w jaździe przeszkadzali a ładunek im zabrali, tak że pomocy wojskowej na ich obronienie zaciągać trzeba było. Takie bezprawne postępowanie nie można ścierpieć (...). Przestrzegam więc furmanów powiatu mego strzec się takiego przeszkadzania woźby (...) i wskazuję władzy policyjnej w zdarzających się przypadkach — natychmiast (...) wkraczać i przestępców aresztować, a wyśledziwcy tę sprawę protokoły mi nadesłać do dalszego poszukiwania, aby sprawców podług stanu okoliczności jako rozbójników albo tumultantów ukarać można”.

Skradzione przedmioty lub wiktuały zawodowi złodzieje sprzedawali najczęściej karczmarzom, kupcom itp., którzy doskonale wiedzieli, że nabyty przez nich towar pochodzi ze źródła nielegalnego; proponowali więc za niego sumy niewielkie w porównaniu z rzeczywistą wartością. Oczywiście jest, że tego rodzaju transakcje przysparzały im znacznych zysków i nie było w zasadzie karczmarza, który by od nich stronił (ryzyko było tu minimalne, gdyż w interesie samych złodziei leżało, by nabyte towary sprzedać w okolicach odległych od ich byłych właścicieli).

Sprawozdania sądowe roiły się także od rozpraw dotyczących innego rodzaju kradzieży, konkretnie przywłaszczania sobie ziemi drogą zaorywania miedzy, lub gruntów tzw. nawsia. Fakt, że również i te problemy poruszane były przez urzędowe pismo landrata świadczy, że nie należały one do wykroczeń rzadkich, a różnorakie porachunki na tym tle znajdowały swój epilog w gromadzkich sądach rozjemczych lub w powiatowym sądzie w Pszczynie.

Epilogi w sądach znajdowały także postawy niektórych mieszkańców wsi wobec poborców podatkowych (lub sołtysa sprawującego tę funkcję w pierwszej połowie XIX wieku).

Gwoli ścisłości nadmienić należy, że przez cały wiek XIX chłopci oprócz podatku gruntowego, królewskiego, uiszczać musieli wiele innych opłat, jak np. na potrzeby komunalne, na zakłady dla ociemniałych i chorych psychicznie, na sierocińce, na „Towarzystwo ogniowe”, na budowę dróg, na kominiarza lub konkretne potrzeby gminy itp. Dlatego buntownicze reakcje co bardziej krewkich chłopów nie należały do rzadkości.

W roku 1849 ogłoszenia policyjne obwieszczały, że: „Niektórzy obywatele gminu się tak daleko zapomnieli, że się z Foyta albo Wybieracza przy pełnieniu jejich służby która, jak każdemu rozumne mu wiadomo iusz przedtem zadość ciężka i trudna, to jest przy ściąganiu podatku albo tam gdzie trzeba fantowaniu, nie tylko wyśmiewali i ich przezywali, ale im się w niektórych pomieszkaniach w cale przeciwiali”.

W podobny zresztą sposób reagowano na kominiarza usiłującego wypełnić swe powinności, tj. skontrolować stan komina, wyczyścić go i wyegzekwować za to zapłatę.

W okresie, gdy kominiarz zaczął regularnie obchodzić wiejskie zagrody, w związku z czym do licznych opłat doszła nowa — właściciele chałup bezpardonowo wypędzali ich ze swych obejść argumentując to tłumaczeniem, że „takie coś” potrafią robić sami i nikomu nie będą płacić za takie „gupoty”.

Do przestępstw innego rodzaju dochodziło w związku z obowiązkiem pełnienia służby wojskowej. Należała ona zawsze do powinności bardzo ciężkich i niezmiennie kojarzył się z nią trud, niebezpieczeństwo, poniewierka.

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

W państwie pruskim obowiązek służby wojskowej rozciągnięty został w roku 1814 na wszystkich mężczyzn monarchii pruskiej. Trwał w sumie 19 lat: 3 lata w pułku, 2 lata w rezerwie i po 7 lat w obronie krajowej pierwszego i drugiego powołania.

Wezwanie do służby wojskowej zawsze napawało młodych mężczyzn przerażeniem; zresztą cały ceremoniał towarzyszący „stowce” nie dawał podstaw do optymizmu, gdyż od pierwszych momentów towarzyszył mu osławiony pruski dryl. Dla 20-letnich młodych ludzi oderwanie od stron rodzinnych i przejście pod dyscyplinę szczególnego rodzaju niemal zawsze łączyło się — w jakimś sensie — z szokiem, dlatego też przypadki dezercji ze służby wojskowej lub niestawienia się do punktu poborowego nie były czymś odosobnionym.

Na przestrzeni całego XIX wieku listy gończe poszukiwały raz po raz rekrutów wywodzących się z różnych wsi (Cielmic, Bijasowic, Ścierni, Jajost). Nie udało się niestety ustalić danych o ich kolejach losu. Wprawdzie czasem w „Kreis Blacie” odwoływano ten czy inny list gończy (np. dot. dezercera Jakuba Siwego z Urbanowic) — niewiadomym jednak jest czy miało to miejsce w związku z jego ujęciem czy ze śmiercią. Przypuszczać można jedynie, że koleje życia byłego lub niedoszedłego wojaka nie należały z całą pewnością do łatwych. Psychiczna presja ciągłego strachu, ciągłej obawy przed zdemaskowaniem stawała się często przyczyną wejścia na drogę przestępstwa, powiększenia się grupy włóczęgów

i „wszelakich występnych” lub emigrantów przez „zieloną granicę” na tereny zaboru austriackiego.

Osobnym problemem dla mieszkańców wsi całego pogranicza (i nie tylko) byli Cyganie przemierzający się ze względną swobodą z kraju do kraju, z powiatu do powiatu. Najczęściej wędrowali ustaloną od pokoleń trasą i imali się różnych zajęć — w zależności od rodzinnych tradycji danej grupy. Byli wśród nich „konowały” czyli lekarze zwierząt.

Wiedzę — na pozór tajemną — dotyczącą tych umiejętności przekazywano z ojca na syna. Doskonała znajomość zwierząt gospodarskich, ich „psychiki” sprawiała, że praktyki weterynaryjne okazywały się autentycznie skuteczne.

Inną specjalnością Cyganów była sztuka kowalska; z mistrzostwem wyrabiali kotły, patelnie, rondle. Niektórzy byli zaś specjalistami od wypalania drewna na potaż, węgiel drzewny, lub zajmowali się produkcją smoły.

Kobiety cygańskie oprócz wielu innych zajęć oddawały się z upodobaniem wróżeniu. Owe wieszczki przepowiednie spotykały się z ogólnym uznaniem, co Cyganki wykorzystywały nader umiejętnie wyciągając od naiwnych znaczne nieraz sumy. Wałęsając się po wsiach poznawały dokładnie teren opracowując przy okazji plany ewentualnych kradzieży. Taborcy cygańskie zatrzymywały się najczęściej w lesie, niedaleko wsi i wykorzystując znajomość „rozpracowanego” przez Cyganki terenu przystępowano do grabieży. Ofiarą ich padały głównie zwierzęta gospodarskie, drób lub drobne, domowe przedmioty stanowiące wyposażenie chałup lub gospodarskiego obejścia. Ludność wiejska miała zatem powody by odnosić się do nich z niechęcią, obawami, a czasem wręcz z wrogością. Nierzadko przepędzano ich, szcuzto psami — w zależności zresztą od jakości doświadczeń związanych z obecnością Cyganów na danym terenie.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o jeszcze jednym problemie, na który władze pruskie zwracały raz po raz uwagę, a który nie był jako taki przestępstwem, jednak w opinii wiejskiej społeczności uważany był za czyn przeciw „prawu Bożemu”; był nim problem nieślubnych dzieci, z którym czasem związane były przypadki dzieciobójstwa. Dla owego „uchronienia mordów dziecinnych” rejencyjny „Amts-Blatt” z 1832 roku zobowiązywał „każdą białogłową nie ślubnie wciąży się znajdującą”, by o swoim stanie „zwierzchność” albo swoich rodziców, względnie „hebame, akuszera lub iaką inszą szanowną kobietę uwiadomić

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

i się podług iey przepisów sprawować”. Nakazywano także, że „połóg nie ma być tajemnie odbyty tylko znaleźcą pomocą” oraz, że „dziecko powinno bydź ukazane, niech będzie umarłe albo żywe; umyślny mord dziecka karę śmierci za sobą ciągnie (...)”.

Przypominano ponadto, że „gdyby uwodziciel białogłowy, iey rodzice, opiekuny lub państwo swoje obowiązki nie wypełniali to wten czas i one karę zasłużyli. (...), a zwodziciele nawet są podług prawa do utrzymywania dziecięcia swego obowiązani”.

Pomimo prawnych zabezpieczeń, prokreacja nie usankcjonowana związkiem małżeńskim była przez tradycyjną społeczność wiejską surowo potępiana. Potępienie to kierowano głównie przeciw dziewczynie oraz przeciw jej rodzicom, że córki „nie dopilnowali”.

Pannę z dzieckiem nazywano „zowidką”, zaś jej dziecko „bęchartem” lub „znojdkiem”, lecz źle je nie traktowano uważając, że nie jest ono niczemu winne. Ogólnie jednak los matki nieślubnej bywał gorzki i ciężki, a zachowane z wieku XIX piosenki ludowe:

„A ja nie chciała matki posłuchać
Teraz musza we dnie w nocy
Kolebką gruchać”

są wymownym tego świadectwem.

Dzieci nieślubne były najczęściej dziećmi biednych dziewczyn i gospodarzy u których służyły (lub ich synów, ew. parobków). Nie mogły więc liczyć na małżeństwo ze sprawcą ich nieszczęścia. Fakty jednak potwierdzają, że gospodarz (jeśli poczuwał się do ojcostwa) łożył najczęściej na utrzymanie dziecka, a nawet nieraz na jego wykształcenie. Zdarzały się jednak i przypadki zatajenia ciąży, porzucenia noworodka (np. w 1851 przy drodze z Bierunia do Urbanowic znaleziono „dziecię 8 tygodni liczące” płci męskiej, nieznanego pochodzenia), oraz przypadki dzieciobójstwa. Były one jednak bardzo rzadkie, a nieślubne matki raczej godziły się ze swym losem i z pokorą i z oddaniem wychowywały swe „nieproszone” dziecko obnosząc tą swoją winę do końca życia z godnością.

Do bardzo nietypowych należały sprawy, które wprawdzie nie mieściły się w kodeksie karnym i same w sobie nie były występkami przeciw prawu, nie mniej budziły u osób co bardziej światłych — oburzenie i przerażenie. Wprawdzie już na początku XIX stulecia nie praktykowano ich oficjalnie, jednak zachowane dokumenty potwierdzają, że zdarzały się jeszcze. Chodzi konkretnie o ... sądy nad wampirami. Według zapisków „ciała zmarłych bywają dobywane z ziemi i przebijane kołkiem drzewianym” gdyż lud wierzył, że „zmarli ci stali się krwiopicjami czyli wampirami”.

Postępowanie takie wiązało się ze swoistą interpretacją przez lud dawnego prawa karnego. Uważano bowiem, że przestępca który zmarł własną śmiercią nie poniósłszy za życia kary mógłby nadal szkodzić ludziom w postaci upiora, a zatem, należało dokonać na nim egzekucji na jaką zasłużył, tj. przebić go klinem lub drewnianym kołkiem. Ta norma prawna, obowiązująca oficjalnie w wiekach XIV, XV i w XVI w stosunku do kobiet, które zabiły własny płód („Białogłowa, jeśliby która płód swój który by już żywy był a członki na nim było rozeznąć, zabiła, ta podług obyczaju ma żywo być zakopana, a palem przebita”) — zapadła tak głęboko w świadomość społeczną, że jeszcze długi czas po jej uchyleniu żyła w postaci ludowego obyczaju i na niektórych terenach (np. okolice Jajost) była praktykowana ukradkiem jeszcze około roku 1800.

Do innych spraw z pogranicza wiary w ciemne moce należały oskarżenia o „rzucanie uroków”. W 1827 roku, w Bijasowicach, urodziwa — prawdopodobnie — „Zofija” oskarżona została przed sądem wiejskim o rzucenie w konkretnym dniu uroku na jednego z zamożniejszych gospodarzy. Dziewczyna kochała się w jego synu (zresztą z wzajemnością) lecz ze względu na swój „niski stan” (pochodziła z rodziny chałupników) o zamążpójściu nie

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

mogła marzyć — zresztą ojciec chłopca zrobił wszystko co było w jego mocy, by dziewczynie skutecznie wybić z głowy owe amory.

W fatalnym dniu, w lipcu gospodarz ów dostał ogromnych boleści brzucha i cudem go uratowano. Oczywiście o czary posądzono natychmiast biedną „Zofiję”. Sprawa znalazła się przed wiejskim sądem, a dziewczynę niemal zlinczowano. Wybroniła się udowadniając, że w czasie, w którym miała rzekomo rzucać uroki — była po prostu matką chrestną w Urbanowicach. Oskarżyciele rad nie rad musieli oszczerstwo odwołać i zapłacić grzywnę.

Posądzania o rzucanie uroków nie były czymś odosobnionym, wręcz przeciwnie, w ówczesnych czasach spotykano się z nimi dosyć często (lecz posądzania o zauroczenie konkretnych osób zdarzały się w drugiej połowie XIX wieku już rzadziej, nie mniej na wszelki wypadek zabezpieczano się przed nimi na miarę ówczesnych sposobów myślenia). Powszechna natomiast była wiara w rzucanie uroków na bydło i inne zwierzęta gospodarskie. Skłonności do tego typu praktyk miały kobiety o „urocznych oczach”, tj. właścicielki tęczówek o intensywnym odcieniu zielono - niebieskim z ciemną obwódką na brzegach tęczówki. Zachowały się opowieści o losach jednej z niebieskookich mieszanek Ścierni, Agnieszce K., która jako dojrziała kobieta „wyspecjalizowała” się w rzucaniu uroków na bydło powodując jego chorowanie lub „zatrzymanie” mleka. Ilekroć przechodziła obok wiejskiego pastwiska, zawsze któreś z pasących się tam zwierząt ponosiło konsekwencje jej „urocznych oczu”. Posądzano ją, że siły swoje bierze od rośliny człowieka - podobnej, o nazwie „przystymp”, którą hodowała w piwnicy, a której gałązki cofały się przed dotykaniem człowieka, zaś sok wzmacniał jego uroczne siły.

Agnieszka raz po raz stawała przed wiejskim sądem odpierając nienawistne ataki, i jak na owe czasy, logicznie tłumacząc kolejne przypadki niedomagań zwierząt (w tym czasie tj. w latach trzydziestych na terenie zaboru austriackiego dosyć często wybuchały epidemie chorób wśród bydła i prawdopodobnie wskutek kwitnącego przemytu przenoszono je na sąsiednie obszary pruskiego pogranicza). Była postrachem wsi i obiektem jej ciągłych ataków (łącznie z kilkoma pobiciami). W końcu dała za wygraną i opuściła rodzinne strony przenosząc się „gdzieś na Górny Śląsk” znajdując prawdopodobnie pracę w rozwijającym się przemyśle.

Przeglądając dziesiątki zapisków w księgach sądowych wychwycić można — powiedzmy — reguły dokonywanych w danej okolicy przestępstw, mimo że na pozór notatki niewiele różnią się od siebie, gdyż prowadzone były według ustalonych schematów. Księgami sądowymi — używanymi wyłącznie w przypadku rozpraw — opiekował się sołtys lub wójt. Pisano w nich „na żywo”, czy mówiąc inaczej — od ręki, na czysto. Niewprawnym pisarzom (lub nietrzeźwym) pisanie to nie zawsze się udawało, stąd w tych księgach wiele skreśleń, uzupełnień, poprawek itp.

Księgi te przechowywano pieczołowicie przez wiele pokoleń. Zmieniały się w nich tylko charakter pisma, imiona wójtów i przysięgłych, ale styl pozostawał taki sam, zaś treść ich czasami przynosiła rewelacje, czasami stwarzała pozory monotonii.

Śledzenie losów ludzkich w oparciu o te akta sądowe nie musi bynajmniej prowadzić do wniosków, że mieszkańcy np. Bierunia i wiosek jego parafii składali się z ludzi nieuczciwych, łamiących prawo, lub skłóconych ze sobą pieniaczy. Np. w zapiskach sądowych gospodarz z Jaroszowca Jan Miller (Miker?) występuje kilkakrotnie w latach dwudziestych i trzydziestych jako oskarżony. Był to chałupnik i w kolizję z prawem popadał często w związku ze swoją sytuacją materialną; np. pożyczył od kogoś radło i nie spieszył się z jego oddaniem, łowił ryby z pańskiego stawu, kiedy indziej złapał kurę, która na „plac” przy jego chałupie zabłądziła. Były to przekroczenia drobne i w sumie nie przekreślały jego wartości jako człowieka, skoro w tym samym czasie gromada czyli zgromadzenie wiejskie

„Wbrew prawu czyli o przemytnikach, kłusownikach, ...”

raz po raz proponowało go jako kandydata na sołtysa, co oznaczało, że jako gospodarz — minio kolejnych rozpraw — był poważany.

Z kolei, zagrodnik z Jaroszowca, Walenty W. stawał raz po raz przed sądem pod innymi, różnymi zarzutami: raz za pobicie na zabawie „aż do krwi” parobka z Urbanowie, który miał czelność zalecać się do jaroszowskiej dziewczyny. Innym razem ze złości stłukł „szkło” w karczmie. Jeszcze innym razem celowo spłoszył konie jednemu ze statecznych gospodarzy i w ogóle miał skłonności do awantur i niewybrednych dowcipów. Pomimo tego, społeczność Jaroszowca dostrzegła w nim jakieś cechy pozytywne skoro jemu właśnie powierzono zorganizowanie pościgu za złodziejem, który — w jakimś sensie zbeszcześcił zwłoki. Mianowicie, do izby, w której leżała zmarła „wdowa po starym Tomku” wkradł się włóczęga i doszczętnie ogołocił pomieszczenie. Oburzeni sąsiedzi i mieszkańcy wsi wszczęli pościg, a na jego czele postawiono owego rozrabiakę Walka. Złoczyńcę schwytano (nie zdołał nawet ująć zbyt daleko poza wiejskie opłotki), skradzione przedmioty odebrano, zaś samego przekazano bieruńskiemu posterunkowi policji.

* * *

Zaprezentowane opracowanie ujęte zostało szkicowo i raczej ogólnikowo, gdyż nie miejsce tu na dogłębne analizy ksiąg sądowych oraz na naukowe zgłębianie społecznych czy psychologicznych aspektów przestępczości wieku XIX. Tekst powyższy potraktowany został jako mały dodatek do dziejów parafii bieruńskiej — dodatek o tyle nietypowy, że podejmujący problematykę pomijaną w wszelkich opracowaniach typu kronikarskiego oraz w opracowaniach monograficznych różnych miejscowości (jak gdyby problemy owe nigdy i nigdzie nie miały miejsca). Tymczasem, w samych tylko powiatowych „dziennikach” czy rejencyjnych „urzędówkach” minionego stulecia nie było ani jednego numeru bez ogłoszeń policyjnych, listów gończych itp. i w zasadzie „występne indywidua” tworzyły swoisty koloryt społeczny każdej górnośląskiej miejscowości.

Zaznaczyć należy jednak, że na tle większych, miejskich skupisk, czy wsi graniczących już wtedy bezpośrednio z rozwijającym się przemysłem, Bieruń wraz z wioskami jego parafii oraz okolicznymi miejscowościami był oazą względnego spokoju i bezpieczeństwa, a

przytoczone w opracowaniu negatywne przykłady nie wyróżniają w żaden szczególny sposób jego mieszkańców. Były one po prostu — używając zwrotu szablonowego — częścią „samego życia” minionego stulecia. I niczym więcej.

BIBLIOGRAFIA

- „Amts - Blatt der Koeniglichen Oppelnschen Regierung” Stuck XLIX 1818.
Bismarck O., Die gesammelten Werke, t. 10 Berlin 1928.
Brand T., Das Dorfbuch fuer Schlesien, Glogau 1838.
Długoborski W., Więż ekonomiczna między zagłębiami górnośląskim i dąbrowskim w epoce kapitalizmu (do 1877 roku), Katowice 1973.
Galos A., Śląskie pielgrzymki do Częstochowy w XVIII wieku, „Sobótka” 1948, nr 3, cz. II. „Gazeta Opolska” 1904 nr 70; 1912 nr 43.
Historia Śląska. Pod red. S. Michalkiewicza t. III 1850 —1 918, cz. I 1850 — — 1890, Wrocław — Warszawa — Kraków—Gdańsk 1976.
Klaussman A. O., Schmuggler an der Schlesischen Grenze, „Schlesien” 1909/1910.
Knötel P., Von der Drei – Kaiserreich - Ecke Geschichtlich kulturelle Epizoden, Kattowitz 1912.
Knie J. G., Alphabetisch – statistisch - topographische Uebersicht aller Doerfer, Flecken, Städte und anderen Orte der Königl. Preuss. Provinz Schlesien, Breslau 1830.
„Nowiny Raciborskie” 1893 nr 53.
„Plessier Kreis — Blatt” 1850, 1861, 1864, 1887.
Pieśni ludowe z polskiego śląska, Wydał i komentarzem opatrzył Józef Ligęza i Stefan Marian Stoiński, t. II Kraków 1938.
„Schlesische Provinzialblaetter” 1816, 1822, 1833, 1846.
Śremowski S., Historia ustroju Śląska, Katowice — Wrocław 1948.
Sulik A., Mysłowice ośrodkiem międzynarodowego handlu żywym towarem w początkach XX wieku, „Zaranie Śląskie” 1959 nr 2.
Wieczorek A., Oberschlesischen im Grenzverkehr mit Russ - land „Oberschlesische Heimat” 1909 nr 1.
Wójcicki K. W., Pątnicy (w:) Obrazy starodawne, t. II Warszawa 1843.